Jest początek lat 70. XX wieku; Filipiny stały się państwem totalitarnym, rządzonym przez bezwzględnego prezydenta Ferdinanda Marcosa. Wciąż niesyty władzy despota, któremu konstytucja zabrania piastowania urzędu prezydenta w kolejnej - trzeciej już - 4-letniej kadencji, postanawia rozwiązać parlament. Jednocześnie likwiduje wolną prasę, a zaraz potem wydaje rozkaz uwięzienia wszystkich przywódców opozycji oraz kilku tysięcy "niepoprawnie myślących" żołnierzy i oficerów. Jest też bardzo bliski zaatakowania Kościoła, ale dzięki nieugiętej postawie abpa Manili - kard. Jaime'a Sina - dyktator wycofuje się ze swych zamiarów. Kardynał Sin zaś zaczyna głosić ostre w tonie kazania oskarżające i piętnujące reżim Marcosa, występując zarazem w obronie więźniów politycznych i nawołując wiernych do pokojowych działań na rzecz poprawy sytuacji w kraju.

Marcos bał się kardynała, a lud podziwiał swego pasterza. Kiedy Sin mówił, wszyscy go słuchali. Kiedy piętnował i oskarżał rząd, kiedy bronił tysięcy więźniów politycznych, słuchał go nawet Marcos. To dzięki kardynałowi zwolnił on kilkuset więźniów przed Bożym Narodzeniem 1974 r.

Kardynał zawsze powtarzał, że zmiany muszą się dokonać nie przy pomocy karabinów, ale na drodze rewolucji serca, rewolucji miłości.

A ta z każdym rokiem - wskutek ekonomicznego zastoju i rosnącej przepaści między bogatymi i biednymi obywatelami oraz nasilającej się korupcji organów państwowych, głównie policji - stawała się coraz bardziej nieznośna. Dodatkowe napięcie stwarzało uaktywnienie się komunistycznej partyzantki na terenach wiejskich.

Kroplą przepełniającą czarę goryczy stała się latem 1983 r. śmierć, z rąk zbirów nasłanych przez prezydenta, znanego działacza opozycji Benigna Aquina, członka parlamentu filipińskiego przed jego rozwiązaniem przez Marcosa.

Benigno Aquino wchodził w skład filipińskiego parlamentu przed jego rozwiązaniem przez Marcosa. Już przed stanem wojennym ogłoszonym 21 września 1972 r. Aquino był bezkompromisowym opozycjonistą i nie bał się mówić głośno o skandalach rządowych. Nic dziwnego, że aresztowano go jako jednego z pierwszych w dniu ogłoszenia stanu wojennego.

W więzieniu spędził siedem i pół roku, odizolowany od świata. Zapadł tam na poważną chorobę serca, która wymagała operacji. Marcos wysłał go do Stanów Zjednoczonych, do szpitala w Teksasie, by nie pozwolić mu już powrócić z wygnania.

Rodzina Aquino osiedliła się w Bostonie. Benigno poświęcił 3 lata na studia w Harvardzie, gdzie nawiązał liczne kontakty z podziemiem na Filipinach. Za wszelką cenę chciał powrócić do ojczyzny. Poleciał do Manili mimo pogróżek żony Marcosa, byłej miss piękności, którą zawsze piętnował za wykorzystywanie publicznych pieniędzy dla prywatnych celów. Został zastrzelony w sierpniu 1983 r., gdy wychodził z samolotu na lotnisku w Manili; nie zdążył nawet dotknąć stopą ziemi filipińskiej.

Jego śmierć obudziła Filipińczyków z trwającej 10 lat apatii. Była jak kamień rzucony w wodę, wzbudzający fale, które zataczają coraz szersze kręgi. Tak obudziła się cała ojczyzna Benigno Aquino. Wdowa po nim, Corazon Aquino, tłumacząca, że „zajmuje się domem, a nie polityką", mimowolnie stanęła na czele ruchu. Do zaangażowania w politykę nakłonił panią Aquino kard. Sin. W ten sposób dał narodowi człowieka, który potrafił uświadomić rodakom, że Marcos kłamie.

Pozostająca dotychczas całkowicie w cieniu swego męża kobieta zdecydowała się - wprawdzie nie bez oporów wynikających z braku politycznych doświadczeń - na start w wyborach prezydenckich, które po kilkunastu latach dyktatury, w lutym 1986 r., ogłosił Marcos.

Zupełnie niedoświadczona w sprawach państwa pani Aquino teoretycznie stała na straconej pozycji w starciu ze starym politycznym wygą. Tak opisał ówczesną sytuację na politycznej arenie Filipin znany amerykański komentator James Reston: ***Panu Marcosowi wydawało się, że opracował idealny scenariusz polityczno-telewizyjny. Miał komunistów pod bokiem, dysponował posłusznym mu parlamentem i elitą wojskowych, jego przeciwniczką zaś w zmaskulinizowanym społeczeństwie była kobieta. Wszystko szło po jego myśli. Wszystko oprócz faktów.*** Dyktator nie wziął mianowicie pod uwagę tego, iż z osobą pani Aquino, która mówiła swym rodakom o sprawiedliwości i uczciwości, podkreślając przy tym swą głęboką wiarę, a ponadto nie wywodziła się z darzonego powszechną niechęcią

politycznego establishmentu, utożsamiały się miliony Filipińczyków. I kiedy filipińskie Zgromadzenie Narodowe po obliczeniu głosów ogłosiło, że większość obywateli poparła urzędującego prezydenta, Corazon Aquino - wobec jawnego fałszerstwa ze strony tej sterowanej przez Marcosa instytucji - dała sygnał do zbojkotowania wyniku wyborów.

Wówczas to także minister obrony Ponce Enrile oraz zastępca szefa sztabu generalnego gen. Fidel Ramos wraz z kilkuset innymi wojskowymi, mając dość wieloletniego nadużywania władzy przez despotycznego prezydenta, otwarcie wypowiedzieli posłuszeństwo Marcosowi i zamknęli się w forcie Aguinaldo przy Epiphanio de Los Santos Avenue (Aleja Objawienia się Świętych), gdzie mieściło się filipińskie Ministerstwo Obrony. Otrzymawszy od dyktatora 24-godzinne ultimatum: bezwarunkowa kapitulacja albo śmierć przez rozstrzelanie, zatelefonowali po radę do kard. Sina; Na biurku kardynała zadzwonił telefon. „Eminencjo – odezwał się ktoś drżącym głosem w słuchawce – musicie nam pomóc. Jeśli nie pomożecie, za parę godzin nie będzie nas wśród żywych". Wszyscy wiedzieli, że wystarczyłoby kilka czołgów lub eskadra śmigłowców, by zlikwidować buntowników.

Na półtorej godziny kardynał zamknął się w kaplicy. Kiedy wyszedł, wiedział już, co trzeba uczynić. Przez katolickie radio „Veritas" wezwał ludzi, by bronili „naszych przyjaciół": „Wyjdźcie na ulice, stańcie pomiędzy siłami Enrile'a i Romosa a nadjeżdżającymi czołgami!"

Ludzie usłyszeli – i odpowiedzieli.

Ze wszystkich części miasta, ze slumsów i dzielnic bogaczy popłynął tłum. W kilka godzin w Alei Objawienia się Świętych stanęły dwa miliony ludzi. Przyszli na EDSA całymi rodzinami, z małymi dziećmi. A co najważniejsze, przyszli z różańcem w ręku i modlitwą na ustach. Na ulicy trwało wielkie nabożeństwo różańcowe, śpiewano bez końca maryjne pieśni, na pospiesznie przygotowanych ołtarzach kapłani i biskupi odprawiali niezliczone Msze św. Ludzi błagali Matkę Najświętszą o pomoc. Bali się, nawet bardzo. Wiedzieli, że uzbrojona po zęby armia Marcosa może zetrzeć ich na krwawą miazgę.

W tym czasie w trzech klasztorach kontemplacyjnych zakonnice nieustannie modliły się. Kardynał Sin powiedział im: „Idźcie do kaplicy i módlcie się.

Módlcie się z rozłożonymi rękoma i poście dopóty, dopóki nie powiem, że możecie przestać".

Wtedy to Marcos zadecydował o wysłaniu pięciu helikopterów, które miały zrzucić bomby na zebrany tłum. Kiedy jednak śmigłowce ze śmiercionośnym ładunkiem dotarły na miejsce, piloci zobaczyli przez chmury ogromny żywy krzyż, który utworzyła ponaddwumilionowa rzesza modlących się na różańcu ludzi. Ten widok tak ich zaszokował, że odmówili wykonania rozkazu i wylądowali. W *Alei Objawienia się Świętych* nadal więc trwało potężne nabożeństwo różańcowe z udziałem przeszło dwóch milionów Filipińczyków. Zebrani nieustannie odmawiali różaniec, błagali Najświętszą Matkę o pomoc, kapłani odprawiali niepoliczone Msze św., a wszystkiemu towarzyszyły pieśni maryjne. Trwali tak na posterunku przez cztery dni i cztery noce, wspomagani ustawiczną modlitwą leżących krzyżem zakonnic z kontemplacyjnych klasztorów.

Prezydent Marcos, dowiedziawszy się o niepowodzeniu misji lotników, zdecydował w końcu o wysłaniu czołgów przeciwko demonstrantom. Krwawa jatka wydawała się nieunikniona.

To, czego się obawiano, stało się niebawem faktem. Na ulicy ukazało się pierwsze sześć czołgów. Kierujący nimi zobaczyli armię bezbronnych ludzi, zawyły motory, maszyny ruszyły na tłum.

Wszystkich czołgów było dwadzieścia pięć, żołnierzy – sześć tysięcy.

Dwa miliony ludzi, bladych i drżących ze strachu, uklękło twarzą w kierunku nadjeżdżających czołgów. W pierwszym rzędzie klęczały siostry zakonne. Podniosły w górę różańce i zaczęły się głośno modlić. Nie, ludzie nie mieli zamiaru się cofnąć. To czołgi się cofnęły. Nie padł ani jeden strzał. Armię pokonała moc modlitwy.

W stronę, gdzie jedna z sióstr prowadziła różaniec, zbliżał się czołg z samotnym żołnierzem w wieżyczce. Czołg zatrzymał się przed klęczącym tłumem. Żołnierz patrzył długą chwilę z zachwytem, po czym powiedział: „Czy mogłaby siostra modlić się głośniej? Moi ludzie w czołgu nie słyszą".

Kiedy zakonnica skinęła głową, twarz żołnierza rozpromienił szeroki uśmiech. Po chwili załoga czołgu dołączyła się do wspólnej modlitwy.

Staruszka na wózku inwalidzkim wysunęła się do przodu. Trzymając w rękach różaniec, zawołała do dowodzącego innym czołgiem: „Możesz mnie zabić, bo i tak jestem już stara! Ale nie rób krzywdy tamtym ludziom". Czołg zatrzymał się kilka metrów przed starą filipińską kobietą.

Trzynastoletnia Risa z zerwanymi w ogródku stokrotkami klęczała i patrzyła na zbliżający się czołg. Pod jej kolanami asfalt był mokry od potu. „Panie żołnierzu, niech pan nas nie zabija. Jesteśmy Filipińczykami, tak samo jak pan". Wyciągnęła bukiecik ku czołgiście. Żołnierz długo na nią patrzył przewiercającym na wylot wzrokiem. Wreszcie uśmiechnął się. „Nie bój się, maleńka, nie zabiję nikogo". Zeskoczył z czołgu i wziął z rąk dziecka kwiaty. Risa przytuliła się do niego. Z oczu żołnierza i dziewczynki płynęły łzy.

Tak działo się wszędzie. „Rozmawiałem – wspomina kard. Sin – z kapłanem, który był tam owej niezapomnianej nocy. Mówił, że w tym rozmodlonym tłumie czuło się obecność Boga. Opowiadał, że modlili się również żołnierze. Widział, jak poruszają się ich wargi, wypowiadające słowa «Zdrowaś Maryjo». Niektórzy z nich przyłączyli się do śpiewu «Ave, Ave», kiedy pod milczącymi gwiazdami tłum zaintonował pieśń, którą każdy Filipińczyk zna na pamięć od wczesnego dzieciństwa".

Dzieci przyszły z kwiatami i wkładały je w lufy karabinów, które miały służyć do zabijania. Klerycy wychodzili naprzeciw żołnierzy i obejmowali ich w uścisku braterstwa. Byli przecież w tym samym wieku co oni. Kobiety i dziewczęta robiły kanapki dla okupujących Aleję i częstowali nimi żołnierzy jadących ku nim w czołgach.

Odwrócił się wiatr

Wtedy nadszedł rozkaz rozpędzenia tłumów gazem. Wykonali go specjaliści, zaprawieni w podobnych akcjach. Cisnęli w tłum pojemniki z gazem. Ale to oni zaczęli kaszleć i uciekać – nagle odwrócił się wiatr! Dwie godziny później ponowiono atak gazowy. Znów nieoczekiwanie odwrócił się wiatr.

To nic nowego. Ten sam cud umożliwił flocie chrześcijańskiej zwycięstwo pod Lepanto w 1571 r. Tu również wiatr decyduje o losach „bitwy".

Potem nakazano ostrzelać Enrile'a ogniem z moździerzy. Po dwóch godzinach od wydania rozkazu nie padł ani jeden wystrzał. „Wciąż poszukujemy odpowiedniego celu dla naszych baterii – tłumaczył Marcosowi oficer dowodzący. – Nie chcemy zabić cywilów". Po kolejnych dwóch godzinach nadal „poszukiwano odpowiedniego celu". Kiedy wreszcie ustawiono działa, moździerze nie wypaliły. Wszystkie naboje były niewypałami! Natomiast wysłane do akcji helikoptery wylądowały wśród rebeliantów, a ich załogi przyłączyły się do nich. Dlaczego dowódca eskadry nie zaatakował? „Ponieważ – tłumaczył później kard. Sin – został dotknięty przez Bożą łaskę".

Jeden z kapłanów obecnych wśród okupujących EDSA „myślał o Bogu spoglądającym z góry na swój lud, błogosławiącym mu i mówiącym do niego słowa, które kiedyś wypowiedział do Jakuba… «Ja jestem Pan»".

Otóż ten Wayne Weible zdołał przekonać kard. Sina do udzielenia mu wywiadu. Zupełnie nieoczekiwanie kardynał ujawnił wówczas rąbek tajemnicy filipińskiego cudu. Okazuje się, że w rozstrzygającym momencie miało miejsce objawienie Matki Najświętszej, widziane przez setki żołnierzy armii rządowej. Powiedział: „Czołgi próbowały wbić się w tłum. Ludzie modlili się i podnosili w górę swoje różańce… Wówczas ukazała się im przepiękna Niewiasta… Była piękna, a Jej oczy błyszczały. I ta piękna Niewiasta przemówiła do żołnierzy tymi słowy: «Stop, kochani żołnierze! Nie posuwajcie się dalej! Nie krzywdźcie moich dzieci». Kiedy żołnierze to usłyszeli, zostawili wszystko, wyszli z czołgów i przyłączyli się do ludu…"

Prezydent Marcos próbuje w tej sytuacji ogłosić stan wyjątkowy w kontrolowanym przez rząd kanale telewizji, ale jest to już jego łabędzi śpiew: w trakcie przemówienia rebelianci przejmują stację, a następnego dnia Corazon Aquino zostaje zaprzysiężona na prezydenta Filipin. I mimo że godzinę później podobną ceremonię urządza w swej rezydencji dotychczasowy przywódca Filipin Ferdinand Marcos, to nikt nie ma wątpliwości, że nie jest on już wystarczająco silny do dalszego sprawowania

rządów. Do przejęcia władzy szykują się również komuniści. Filipiny stają w obliczu wojny domowej.

Wówczas to po raz kolejny niepospolitą odwagą i nadzwyczajną jasnością umysłu wykazuje się kard. Sin który powstrzymuje komunistyczne bojówki przed zabiciem Marcosa i skłania amerykańskiego prezydenta Reagana do udzielenia dyktatorowi azylu w USA. *W ciągu trzydziestu minut amerykańskie helikoptery przetransportowały Marcosa i jego otoczenie do bazy Clark, a stamtąd samolot zawiózł go na Hawaje* - jak wspominał po latach hierarcha. Władzę w kraju ostatecznie objęła pani Aquino wraz ze swymi zwolennikami.

To dlatego podczas wręczania doktoratu honoris causa w Boston College kard. Sin mógł powiedzieć: „Myślę, że cały scenariusz [tamtych wydarzeń] był pisany tylko przez samego Boga. Myślę, że całością akcji kierowała Najświętsza Maryja Panna. Byliśmy tylko aktorami. Ale nasza moc pochodziła od Boga".

„Jestem przekonany – mówił w innym miejscu – że cała cześć, całe uznanie i cała wdzięczność powinna być oddana Najświętszej Maryi Pannie, a przez Nią Jej Synowi i z Nim Ojcu w niebie, bo Bóg naprawdę patrzył na nas łaskawym okiem, naprawdę błogosławił Filipiny i wszystkich nas dotknął swoją łaską".

Zadanie

Ale różańcowy cud na Filipinach był nie tylko dany, lecz również zadany. Kardynał Sin nie przestawał ostrzegać: „Problem dyktatorskich rządów rozwiązaliśmy w cztery dni, dlatego to, do czego doszło na Alei Objawienia się Świętych, było cudem. Jednak wyczerpaliśmy już należną nam pulę cudów; teraz musimy rozwiązywać nasze problemy przez mądre planowanie i ciężką pracę…" I dodawał: „Widziałem, jak podczas różańcowego cudu znikły wszystkie różnice klasowe. Każdy spieszył drugiemu z pomocą, przemysłowiec stanął ramię w ramię z szefem związków zawodowych, businessman dzielił los z tragarzem, dziewczyna z college'u z robotnikiem. Podczas różańcowego cudu było tyle troski o bliźnich. Ale to wszystko minęło. Wróciły podziały klasowe, wrócił egoizm. Wydaje się niemal, że

tamten cud nigdy się nie zdarzył". „Czy wiecie, dlaczego powiodła się EDSA? – pytał. – Bo w ciągu tamtych czterech dni nikt nie myślał o własnych sprawach… Podczas EDSA każdy czuł obecność Chrystusa wśród zgromadzonych ludzi. Wiecie dlaczego tak było? Bo wszyscy się modlili, bo wzywali Jego imienia. Bo wszyscy byli w niebezpieczeństwie i potrzebowali Boga. Niestety, kiedy wszystko toczy się zwykłym trybem, potrzeba Boga schodzi na drugi plan i we wszystkich nas ożywają stare przyzwyczajenia".

Ocalenie po wybuchu bomby atomowej w Hiroszimie

Hiroszima – ta nazwa na zawsze będzie kojarzyła się z całkowitym zniszczeniem i cierpieniem nie do opisania, które nastąpiły po eksplozji pierwszej bomby atomowej w czasie II wojny światowej. Jednakże jest też inne, dla wielu nieznane, niosące pociechę i nadzieję, przesłanie z Hiroszimy.

Maryja, Królowa różańca, w sposób cudowny ochroniła małą wspólnotę czterech księży jezuitów, żyjących zaledwie osiem bloków od centrum wybuchu. Ojciec Hubert Schiffer, który zmarł w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat w marcu 1982 roku we Frankfurcie, opowiedział, czego był świadkiem. Relacja została przekazana w Filadelfii podczas Kongresu Eucharystycznego.

Ojciec Hubert miał trzydzieści sześć lat, kiedy bomba spadła na Hiroszimę, gdzie w tamtym czasie pracował jako misjonarz w parafii Wniebowzięcia Maryi. Wszyscy czterej jezuici żyli, gdy odbywał się wspomniany Kongres Eucharystyczny w 1976 roku. **Po ludzku sądząc, niewytłumaczalne jest, że spośród tysięcy ludzi, którzy znajdowali się w promieniu około półtora kilometra od centrum eksplozji, oni byli jedynymi, którzy przeżyli.** Dla naukowców nadal pozostaje tajemnicą, dlaczego żaden z kapłanów nie został dotknięty napromieniowaniem, a **dom parafialny** (powtarzamy: znajdował się zaledwie osiem bloków od centrum wybuchu) **pozostał niezburzony, podczas gdy wszystkie inne budynki wokół niego uległy całkowitemu zniszczeniu.**

„Pośród mieszkańców Hiroszimy był jezuita ojciec Hubert Schiffer. Rankiem 6 sierpnia 1945 r. po odprawionej Mszy św. właśnie zabierał się do śniadania. Kiedy zanurzył łyżeczkę w świeżej połówce grejpfruta, coś nagle błysnęło. Początkowo duchowny pomyślał, że pewnie eksplodował tankowiec w porcie. W końcu Hiroszima była głównym portem, w którym japońskie łodzie podwodne uzupełniały paliwo. Potem, jak powiedział ojciec Schiffer: ***„Nagle potężna eksplozja wstrząsnęła powietrzem. Niewidzialna siła uniosła mnie w górę, wstrząsała mną, rzucała, wirowała niczym liściem podczas jesiennej zawieruchy”.*** *Gdy ojciec znalazł się na ziemi i otworzył oczy, zdał sobie sprawę, że wokół jego domu nie ma nic. Wszystko zostało zniszczone. Tymczasem on miał zaledwie niewielkie zadrapania z tyłu szyi. Nieliczna wspólnota, licząca ośmiu jezuitów, do której należał ojciec Schiffer, mieszkała w domu blisko kościoła parafialnego, oddalonego jedynie o osiem budynków od centrum wybuchu”.*

„Błyskawiczna kalkulacja pokazuje, że w odległości jednego kilometra od wybuchu dominuje temperatura od dwóch i pół do trzech tysięcy stopni Celsjusza, – a fala ciepła uderza z prędkością dźwięku napierając z ciśnieniem większym niż 600 psi (1 psi to około 69 hektopaskali – przyp. red.). Jeśli jezuici znajdujący się w obrębie jednego kilometra od epicentrum wybuchu byli poza plazmą bomby atomowej, ich siedziba powinna być ponad wszelką wątpliwość zniszczona”.

Zgodnie z deklaracjami dwustu lekarzy i naukowców amerykańskich oraz japońskich, którzy badali ojca, nie sposób wytłumaczyć, dlaczego trzydzieści trzy lata po wybuchu ojciec nadal żył, ciesząc się dobrym zdrowiem, bez żadnych konsekwencji, które następują po wystawieniu się na napromieniowanie.

Jesteśmy przekonani, że przeżyliśmy, ponieważ żyliśmy przesłaniem fatimskim. Żyliśmy i codziennie głośno odmawialiśmy Różaniec w naszym domu.

Źródło: o. Antonello Cadeddu i o. Henrique Porcu, Różaniec Maryi Dziewicy, wyd. Esprit, Kraków 2016.

Wyzwolenie Austrii z obecności Sowietów

Po II wojnie światowej (1939-1945) Austria została podzielona na cztery strefy okupacyjne. Sowieci zajmowali wschód kraju. Stolica, Wiedeń, również była podzielona na cztery części. Po trzech latach spędzonych w obecności Sowietów Austriacy nie wytrzymywali już dłużej tej sytuacji. Ale co mogło zrobić siedem milionów Austriaków przeciwko dwustu dwudziestu milionom Sowietów?

Ksiądz Petrus Pavlicek przypomniał sobie zwycięstwo pod Lepanto, w którym książę Juan w cudowny sposób odparł atak Turków przez prostą modlitwę na różańcu. Uruchomił zatem akcję, znaną pod nazwą „*Rosenkranksuhnekreuzug*" (krucjata pokuty i różańca). Akcja była wydarzeniem publicznym.

Od 1950 r. o. Pavlicek organizował raz w roku na wiedeńskich ulicach wielką procesję w dniu święta Imienia Maryi. Udało mu się przekonać do tej modlitewnej krucjaty wybitnych polityków, m.in. Juliusa Raaba (kanclerza) i Leopolda Figla (ministra spraw zagranicznych), którzy brali udział w negocjacjach z aliantami na temat kształtu państwa austriackiego. ***W 1947 r. było ok. 10 tys. osób, które każdego dnia odmawiały różaniec za wolność Austrii. W 1955 r. ich liczba wzrosła do ok. 500 tys.***

Na początku 1955 r. rosyjski minister Wiaczesław Mołotow powiedział do swojego austriackiego kolegi słynne słowa: ***„My, Rosjanie, to, co raz wzięliśmy w posiadanie, tego już nigdy nie wypuszczamy z naszych rąk"****. Czarna chmura rosyjskiej dominacji zapadła nad jednością i autonomią Austrii. Wydawało się, że nie ma szans na zmianę tej niezwykle poważnej sytuacji. Figl powiedział tylko do o. Pavlicka:* ***„Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko modlić się z jeszcze większym oddaniem i gorliwością".***

Kilka miesięcy później, 15 maja 1955 r., miała miejsce ratyfikacja traktatu dotyczącego ustanowienia niezawisłego państwa austriackiego. Decyzja o wycofaniu wojsk radzieckich zapadła w czasie pertraktacji między stroną sowiecką a austriacką ***13 maja – w dniu objawień Matki Bożej Fatimskiej.*** *W ten sposób* ***Austria stała się jedynym powojennym krajem, który armia radziecka opuściła w wyniku podpisania traktatu międzynarodowego****. Minister Figl powiedział wówczas zdanie, które przeszło do powojennej historii Austrii:* ***„Z wdzięcznością Bogu Wszechmogącemu podpisujemy ten traktat i z wielką radością ogłaszamy: «Austria jest wolna!»".***

Kiedy nastąpiła ostatnia runda negocjacji i w Moskwie, kanclerz Austrii Julius Raab oświadczył: **„Bóg nam pomógł!”**. Sowieci opuścili kraj bez rozlewu krwi – to wydarzenie przypomina bezkrwawe zwycięstwa Joanny d’Arc. Austria była dla Sowietów wymarzonym krajem, bogatym, bardzo dobrze położonym ze strategicznego punktu widzenia, stanowiącym otwarte drzwi na zachód. Historycy do tej pory nie potrafią wyjaśnić motywów, które doprowadziły do wycofania się wojsk sowieckich.

W 1962 roku ksiądz A. William z Austrii **zadał to pytanie słynnej stygmatyczce niemieckiej, Teresie Neumann**, trzy miesiące przed jej śmiercią, odpowiedziała:

Tak naprawdę, sprawił to różaniec narodu austriackiego.

Ten różaniec dokonał więcej w Austrii niż bojownicy o wolność na Węgrzech, gdzie doszło do krwawej rzezi dwudziestu pięciu tysięcy niewinnych.